

Przełom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

<i>Dr. Tadeusz Rutowski: Gorączka Brazylijska I.</i>	853
<i>Karol Wróblewski: „Kapitalizm fin de siècle“ I.</i>	864
<i>M. Wierzbński: Margrabia Salisbury</i>	871
<i>Z Rosyi</i>	878

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 zlr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.



WIEDŃ.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Wih. Frick, I. Graben Nr. 27
we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurowicza
w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895.



→ Wiedeń, dnia 30. listopada 1895. ←



Gorączka Brazylijska

i sprawa emigracyi.

I.

Galicja, zwłaszcza wschodnie jej powiaty, przechodzą znowu wyraźny paroksyzm gorączki emigracyjnej, która epidemicznie grasuje w najbogatszych może częściach kraju. Petycye wchodzące do „Koła Polskiego“, listy, wiadomości dziennikarskie, doprowadziły w Kole do żywej rozprawy w dniu 20. listopada, której echo rozeszło się w mieszaninie z prawdy i fałszu po kraju, wywołało głośne zebranie „Towarzystwa handlowo-geograficznego“ we Lwowie, memoriał do Koła Towarzystwa Opieki nad Emigrantami pod wezwaniem św. Rafała we Lwowie, które to towarzystwo w kilka dni po posiedzeniu „Koła Polskiego“ jak dzienniki donoszą, rozwiązało się.

„Koło“ pojmując znaczenie sprawy masowej emigracyi z kraju naszego, obeznane z nią od szeregu lat przez petycye, pisma z kraju, posłów, przez żywych przedstawicieli emigracyi, przeciągających przez Wiedeń, pod opieką, czy bez opieki, na daleki zachód, a jeszcze lepiej przez powracających z zachodu, zwłaszcza z Brazylii, od kilku już lat poważnie się tą sprawą zajmowało. Nigdy też nie stanęło na ciasnem stanowisku, jakoby emigracya była zjawiskiem anormalnem, tylko potępienia godnem, jakoby należało z nią walczyć samą repressją administracyjną, środkami policyjnej prohibicyi. Rozumiało doskonale związek z ekonomicznymi i społecznymi stosunkami kraju, nie

było też ślepe na pewne korzyści emigracyi szukających na obczyźnie pracy i zarobku, z myślą powrotu do macierzystego kraju, nawet na zupełną emigrację proletaryatu szukającego lepszej doli.

To też już w czasie pierwszej wielkiej „gorączki Brazylijskiej“, przemawiał z upoważnienia Koła w Izbie, poseł Rutowski, i wskazywał na przyczyny wychodźstwa, wskazywał zwłaszcza te które są w mocy rządu, wskazywał środki powstrzymania w kraju, oprócz pracy nad podniesieniem ekonomicznem, kolonizację wewnętrzną, pośrednictwo pracy, ułatwienia dla przenoszenia sił roboczych z jednej części kraju do innej, — domagał się ustawy emigracyjnej, któraby zorganizowała opiekę państwa nad wychodźstwem, kontrolę nad agentami krajowymi i zagranicznymi, opiekę portową i w czasie przyjazdu, opiekę konsularną na obczyźnie, ewidencję emigracyi w kraju, ścisłe informacje o warunkach krajów do których zmierza emigracya, — ale domagał się także ścisłego określenia zasadniczego prawa wolności przenoszenia się z miejsca na miejsce wobec wymogów służby wojskowej, któreby usunęło sekatury paszportowe, a przez to zmniejszyło ucieczki kryjome, słowem żądał rozpoczęcia polityki emigracyjnej i kolonizacyjnej. Pouawiał żądania Koła w następnych latach poseł Wielowiejski i p. Rutowski, który też interpelował w tej sprawie świeżo w komisji budżetowej, nowego ministra spraw wewnętrznych. W delegacyach dopominano się z polskiej strony opieki konsularnej w Brazyli, Polaka dla konsulatu w Kurytybie.

Ustawy dotąd niema, o „polityce“ z przewodnią myślą, niema jeszcze mowy, a wszystkie powody oświaty, stanu ekonomicznego, społecznych stosunków są tego rodzaju, że kraj nasz na wszystkie gorączki emigracyjne narażony.

Nie myślał o tem dosyć Sejm, skoro po raz pierwszy dotknął się z lekka tej sprawy, dopiero w tym roku, czemu się nie dziwić, skoro kwestya parcelacyi potrzebowała szeregu lat żeby dojrzeć, bez której rozwiązania niema kolonizacyi wewnętrznej.

Niepospolitą też zasługą było Dra Stanisława Kłobukowskiego, że przejęty gorącą miłością dla wszystkiego co polskie,

założył we Lwowie „Przegląd emigracyjny“ poświęcony szukaniu Polski rozsypanej w emigracji po całym świecie, zbieraniu wiadomości o tej „czwartej dzielnicy“ już kilkomilionowej, pośredniczeniu w porozumieniu się wychodźstwa z macierzystym krajem, próbowaniu jakiejś organizacji, koncentracji dla coraz wzbierającej fali emigracji, jakiejś narodowej, samowiednej kolonizacji, by żywioły opuszczające kraj niemarnowały się luzem i w pojedynkę, ale kupiły się w nowych siedzibach dla wzajemnej pomocy, utrzymania narodowości, łączności z macierzą i pożytku narodowego.

Niepospolicie też przyczyniło się pismo Dra Kłobukowskiego, do zdobycia wiadomości o emigracji polskiej, dosłownie przyniosło istne „odkrycia“ Polski za światami, poruszyło mnóstwo kwestyi związanych z wychodźstwem, rzuciło sporo światła na przyezyny, wskazało różne środki, przyczyniło się wiele do poważniejszego zajęcia się sprawą, zainicjowało badania przez ludzi ad hoc wysefanych. Z grona też ludzi grupujących się przy „Przeglądzie emigracyjnym“ wyrosła myśl i instytucya „Towarzystwa handlowo-geograficznego“. Także i powstanie filii Towarzystwa św. Rafała dla opieki nad emigrantami, świadczy, że „sprawa emigracji“ stała się nareszcie nie tylko interesującą, ale uznaną za sprawę „publicznego interesu“.

Usiłowania te wszystkie, ożywione najlepszymi chęciami i zamiarami, są dopiero początkiem, pierwszymi krokami, jakie kraj robi w obec zjawiska wychodźstwa, które ciągle wzrasta, i od czasu do czasu zamienia się w masowe. Niedziw, że nie wszystko w tych usiłowaniach jest dobre, rozumne, wytrawne, że nie obejdzie się bez błędów, iluzyj, eksperymentów, — że — jak wszystkie kraje na świecie, które miały emigrację — i my musimy zapłacić frycówkę.

Najwyższy też czas, żeby obok usiłowań indywidualnych, robót w pojedynkę, firm bardzo szanownych, ale wykonawców często niedowarzonych, przyszedł kraj do głosu i do akcji i zajął się poważnie sprawą emigracji, poznaniem jej powodów, objawów dodatnich i ujemnych rozmiarów, — by kraj sam seryo zaczął szukać środków zaradczych, by organizował opiekę

i myślał nawet o kierunku wychodźstwa, ażeby kraj był chroniony od eksperymentów.

Sprawie emigracji poświęcimy kilka artykułów.

Dziś tylko w krótkich słowach chcemy przedstawić przebieg, jaki miała kwestya emigracyjna w Kole Polskiem.

Ażeby nie być posądzonym o stronniczość, podajemy najprzód sprawozdanie z posiedzenia Koła, z dnia 18. listopada, wedle korespondencji „Kuryera lwowskiego“ z dnia 20. listopada. Oto co piszą do „Kuryera“ z Wiednia:

„Na przedwczorajszym posiedzeniu Koła Henzel wniósł petycję stowarzyszenia rolniczego przeciw wychodźtwa do Brazylii; agitacya i namowy pochodzą z Hamburga. Wielowiejski twierdzi natomiast, iż to złe pochodzi z Wiednia i żąda, aby hamburskim agentom osiadłym tu, zakazano sprzedawania biletów okrętowych. Chrzanowski jest za wprowadzeniem ustaw dla wychodźtwa.

Ks. Chotkowski twierdzi, iż stowarzyszenie św. Rafała, starało się dotychczas daremnie zebrać statystyczne dane o wychodźtwie i cieszy się, iż hr. Budeni obiecał ich dostarczyć. Mowca ubolewa, iż część ogółu niesłusznie podejrzewa wzmiankowane towarzystwo, jakoby pobierało pieniądze za każdego wysłanego i tym sposobem robiło dobre interesa. Tym sposobem podkopuje się jego znaczenie i pożyteczną działalność utrudnia. Chłopi uważają także Tow. św. Rafała za ajencyę dla wychodźtwa.

Rutowski oznajmia, iż w sprawie wychodźtwa interpelował już ministra; stanowcze środki są tu konieczne. Mowca przytacza następnie przykłady z postępowania Tow. św. Rafała; popieranie wychodźtwa do Brazylii jest szkodliwe, wina tu jednak spada na Kłobukowskiego, który obiecał brazylijskiemu rządowi dostarczyć w krótkim czasie 9000 wychodźców z Galicyi. Mowcã żąda nareszcie specjalnego posiedzenia w sprawie emigracyi.

Wielowiejski, który spólnie z Kłobukowskim popiera wychodźtwa do Brazylii, broni gorąco swego kolegi.

Kopyciński atakuje Tow. św. Rafała, zarzucając mu, iż urządza nawet festyny dla swych celów: ludzie, których to towarzystwo wysyła do stanu Parana, dostają się tam wprost w niewolę, a uciekający bywają najzwyczajniej w świecie rozstrzelani. Mowca posiada listy z Parany od wychodźców, opisujące te wszystkie okropności“.

Poczem Koło uchwaliło w myśl wniosku Rutowskiego poświęcić osobne posiedzenie sprawie emigracyi.

Według korespondencji „Reformy“, z dnia 21. listopada pochodzącej z tego samego źródła: „pos. Rutowski przytacza przykłady na to że Tow. św. Rafała często działa niezgrabnie“.

Wiadomości te, niesłychanie pobieżne i niedokładne z dłuższej debaty w Kole, wywołały w Towarzystwie handlowo-geograficznym wielką wrzawę. Tow. św. Rafała w kilka dni rozwiązało się, ale przysłało (już po rozwiązaniu) memoriał do Koła broniący Towarzystwa przed złą opinią w Kole. W Towarzystwie handlowo-geograficznym z całym impetem rzucono się na autora niniejszego artykułu za wrzekomo ciśniętą kalumnię interesowności na Dra Kłobukowskiego, który jest obecnie w Brazylii, uchwalono wystosować memoriał odpierający z oburzeniem tę kolumnię.

W ten sposób powiodło się na chwilę, że uwaga kraju została odwróconą z możliwych błędów w postępowaniu ludzi z Tow. handlowo-geogr. i św. Rafała na całkiem niespodziewanego winowajcę.

Jest tu nowy dowód z jednej strony, jak lekkomyślnie i źle jest obsługiwana prasa nasza, a z drugiej, jak łatwo u nas ludzie ferują wyroki i w zacierzwieniu są w stanie krzywdzić i bezcześcić.

Najprzód pytamy się, skąd, na jakiej podstawie nawet przyjmując teksty podane przez „Kuryera“ i „Reformę“ za autentyczne, wolno komukolwiek twierdzić, że p. Rutowski rzucił cień na uczciwość Dra Kłobukowskiego i posądził go o — sprzedanie chłopów galicyjskich rządowi Brazylijskiemu? Tego, ani podobnej myśli, czy aluzji nie powiedział ani Rutowski, ani nikt w Kole. Wrzekomą wersyę, że św. Rafał bywa

o interesowność posadzany, przytoczył jedynie członek tego stowarzyszenia ks. prałat Chotkowski.

Otóż tak nikczemnego podejrzenia nie rzucił i nie potrafiłby rzucić Dr. Rutowski na p. Kłobukowskiego, bo go lepiej zna, jak ktokolwiek w kraju, bo p. Kłobukowski był szereg lat pracownikiem w jego biurze i pod jego bokiem, gdzie też „Przegląd emigracyjny“ powstał i rozwinął się. Pisząc to, z oburzeniem odrzucam podejrzenie, wyszłe od ludzi patrzących przez okulary „Kuryera“ i „Reformy“, jakoby miał szukać w robocie Kłobukowskiego, jednego z najszlachetniejszych idealistów i iluzjonistów naszych, o duszy, jak kryształ czystej, brudnych motywów.

I byłbym ogłosił sprostowanie zaraz, gdyby nie doświadczenie, że sprostowania w pewnych dziennikach wymuszać trzeba dopiero procesem, a zresztą chciałem sprawie emigracyjnej poświęcić więcej miejsca w naszym piśmie.

Jeżeli petycje, listy, głosy poselskie, dziennikarskie zwróciły uwagę na to, że w gorączce emigracyjnej, która bucha epidemią, po wielkiej części kraju są jakieś błędy i zawinienia ludzi, choćby jak znacznych, to nie wystarcza, a oburzać się, ale już trzeba się usprawiedliwić. Tu same „dobre chęci“, które podobno piekło brukowane, nie wystarczą ni same „najszlachetniejsze intencje“ i powaga instytucji o ładnej i czcigodnej firmie, nawet osobista szanowność grona ludzi stojących na czele. Tu potrzeba nietylko poważnej firmy, ale i odpowiednich organów. Tu potrzeba nietylko dobrych zamiarów, ale wiedzy, znajomości rzeczy, doświadczeń, rozwagi, taktu.

Otóż nie może ulegać żadnej wątpliwości, że „św. Rafał“ lwowski musiał na którymś punkcie nie dopisać, skoro są doświadczenia niezawodne objawy, że działalność jego nie była ze wszystkim szczęśliwą. Jeżeli się do tego doda równoczesną działalność grupy ludzi skupionych przy „Przeglądzie emigracyjnym“ dziś „wszechpolskim“ i przy „Towarzystwie handlowo-geograficznym“, to się przekonać łatwo, że znaczne myśli, najlepsze chęci, uczciwe wysiłki mieszały się tu z pewną dyletancką gorączką, z niedowarzoną robotą, która musiała przynieść błędne

kroki i niejeden z pewnością nie zamierzony, ale z równą pewnością niefortunny skutek.

Otóż od pierwszej chwili zawiązania „Przeglądu emigracyjnego“ przestrzegałem i nawoływałem do najwyższej ostrożności, żeby zajmując się emigracją — nie wpaść w błąd — propagowania emigracji. Mimo wszelkich protestów, które wywołałam, twierdząc, że w ten błąd w miarę czasu „Przegląd emigr.“ popadać zaczął, a co gorsza w zaciekrzewieniu „Budowania Polski w Ameryce“ w ostatnich latach popadł w jednostronność kierowania emigracji co raz wyłącziej, nareszcie z całą fugą utopistów wyłącznie do Brazylii, a zwłaszcza do Parany. Wróć do tego przedmiotu.

Ta jednostronność przeszła na ludzi Tow. handlowo-geograficznego i na św. Rafała. Ztąd objawy, które wywołały popłoch po kraju, opozycję przeciw św. Rafałowi w kołach najbardziej sympatyzujących z ludźmi tego Towarzystwa, opozycję naszego Rządu krajowego, dzisiejszego Ministra spraw wewnętrznych, krytykę ostrą z wielu stron w Kole i — rozwiązanie św. Rafała, nad czem ubolewamy.

Otóż z różnych danych, postępowania pewnych członków, z objawów i głosów licznych wywnioskowałem, że niestety tu była jakaś niezgrabna ręka, że i św. Rafał musiał czasem działać „niezgrabnie“. Zaś przekręcone zresztą moje słowaco do Dra Kłobukowskiego, nie mówiły nic innego, tylko wskazały na wiadomość kążącą po dziennikach, którą wszyscy czytali.

Przez kilka dni przechodziła z jednego do drugiego dziennika galicyjskiego następująca wiadomość „z Brazylii“ (cytujemy z „Przeglądu“ z dnia 15. listopada 1895).

„Wychodzący w Rio de Janeiro w języku portugalskim dziennik „Jornal do Brazil“ zamieszcza co następuje:

„Dr. Stanisław Kłobukowski przyjechał ze Lwowa, stolicy Galicyi z 900 emigrantami. Jest on przysłany przez dwa Towarzystwa: Towarzystwo handlowo-geograficzne i komitet Tow. św. Rafała (zajmującego się sprawami emigracji). Był bardzo dobrze przyjęty przez ministra przemysłu Olyntho, który dał mu listy polecające do gubernatorów stanów, oraz bilety wolnej

jazdy. Większa część (ale nie wszyscy) Polaków chce iść do Pazany.. Ma przybyć do Brazylii przed nowym rokiem jeszcze 3000 Galicyan, a w roku przyszłym 8000. Dr. Kłobukowski prosił ministra, aby emigrantów tych wysłał zgodnie z ich życzeniem, które zapewne będzie się zwracało ku Parana, bez względu na to, że stan Parana przyczynia się mniej niż inne do ponoszenia kosztów emigracji, albowiem jest nieco zrujnowany przez wojnę domową.

„Dr. Kłobukowski uważa, że to właśnie byłby sposób podniesienia finansów w czasie przyszłym, cokolwiek odleglejszym. Zresztą owe 3000 i 8000 Galicyan pochodzi wyłącznie z Austrii. Minister okazał się nieprzychylnym temu, ażeby prąd emigracyjny skierował się ku Parana; jest on za tem, ażeby go poprowadzić także ku Minas Geraes i St. Paolo. Dr. K. okazał instrukcye, dane mu przez towarzystwa... Gdy (Kłobukowski) wróci do Europy, wystarczy, aby ogłosił prawdę, a jesteśmy pewni, że interes dla emigracji wśród Polaków, Rusinów, Niemców, Czechów i Węgrów wzrośnie.“

Otóż wskazując na pewne oznaki, pozwalające przypuszczać niezręczność i niezgrabność u tych, którzy doprowadzili do tego, że jak ks. Chotkowski, członek św. Rafała, powiedział „chłopi uważają także za agencję dla wychodźstwa“ za instytucję, której zadaniem jest ułatwiać wychodźstwo, nie mogłem pominąć ostatniej wiadomości, wedle której Dr. Kłobukowski obiecał brazylijskiemu ministrowi przybycie 3000 galicyjskich chłopów do końca roku, a 8000 w roku przyszłym.

Pytamy się, czemu z tem panowie z Tow. św. Rafała i Tow. handlowo-geograficznego nie podejmują polemiki, ale oburzają się na Koło, że się ośmieliło mieć mniej entuzjastyczne sądy o ich działalności?

A przecież pełno już było listów, artykułów po polskiej, ruskiej, wiedeńskiej prasie, które zwracały uwagę, że nietylko agenci emigracyjni niosą pomiędzy lud epidemię emigracyjną. Czekamy zaprzeczenia przerażającej korespondencji z Tarnopolskiego (Przegląd z 26. listop.) widocznie przez poważnego

i światłego człowieka pisanej. Mówi między innymi o podburzeniach „obcych żywiołów“ i „źle zrozumianem apostołowaniu niepowołanych i może mimowoli szkodliwych opiekunów ludu“. „Pierwsi, t. j. agenci brazylijscy, namawiający lud do wychodźstwa dla osobistego zysku, ale od tych przynajmniej niczego się nie wymaga, bo tym dobro naszego wieśniaka nie leży na sercu. Drudzy zaś, jak Towarzystwo św. Rafała, z pobudek, wierzę, najhumanitarniejszych, ale zupełnie fałszywie pojętych, pchnęło lud nasz do zguby, nie tylko tych, których wyprawiło do Ameryki, lecz rozpozszecznieniem proklamacyi wywołało bez porównania więcej złego, wytworzywszy gorączkę straszną, ogólną jak epidemia i udzielającą się jak epidemia, rozgorączkowawszy umysły i roznamiętniwszy żądze bogactw, o których do niedawna ludowi się nie marzyło“

Ależ to są zarzuty, od których trzeba się oczyścić, na co nie wystarczy sumitowanie się na temat dobrych chęci memoriału wystosowanego do Koła. Od tego nie uwalnia rozwiązanie się, czy „przycupnięcie“ Towarzystwa.

Ale lwowska filia św. Rafała już od kilku tygodni stoi pod daleko cięższym zarzutem i dotąd nie uważała za stosowne już nie tylko przed krajem, ale przed zagranicą, chociażby prostym protestem się oczyścić.

Konsul generalny austro-węgierski, radca ministerjalny, znany pisarz, ekonomista i statystyk Dr. Karol von Scherzer ogłosił w broszurce p. t. „Die wirthschaftlichen Verhältnisse Genuas im J. 1894“ niezmiernie ciekawy rozdział o emigracyi austriackiej via Genua do Brazylii. Uwagi te dostały się niedawno do wiadomości kraju i obieżyły w bardzo obszernem streszczeniu, spreparowanym jedną ręką prawie całą prasę naszą. Mamy przed sobą tekst w „Kuryerze lwowskim“ z d. 14. listopada i w „Dzienniku polskim“ z 18. listopada na naczelnem miejscu. Tylko, że z tego streszczenia kraj się nie dowiedział najciekawszej wia-

domości, podanej przez Scherzera, za to czytał wnioski, jakoby Szerzera, których u niego wcale niema.

Scherzer opowiada znaną historję powstania brazylijskiej Societa brasiliana metropolitana, która się obo-
wiązała w ciągu 10 lat dostarczyć rządowi brazylijskiemu 1 milion wychodźców, katolików, najmniej 100.000 i to samych rolników rocznie. Gdy Włochów nie starczyło, chociaż 500.000 poszło, zaczęli agenci towarzystwa szukać za innymi katolikami, zwłaszcza w Galicyi, „gdzie obecnie wskutek wielkiego braku zarobku wielka bieda panuje, a ludność tamtejsza bardzo pracowita, bez potrzeb, nabożna i dobroduszna“. „Auswanderungsagenten durchzogen Galizien nach allen Richtungen, suchten auch die neuerlich in Lemberg gegründete Zweiggeseellschaft des... „St. Raphael-Vereines“ zum Schutze der katholischen Auswanderung für ihre Zwecke heranzuziehen und brachten es, wie mir von vertrauensvoller Seite mitgetheilt wurde, sogar dahin, dass jener Zweigverein sich verpflichtete, die Auswanderung von 50.000 galizischen Bauern (allerdings ohne bestimmten Zeitpunkt) nach Brasilien zu fördern, unter der Bedingung, dass denselben nicht bloss die unentgeltliche Ueberfahrt zugesichert werde, sondern auch der Ort der Ansiedlung ihrer freien Wahl überlassen bleibe“.

Otóż w artykułach naszych pism, spreparowanych jedną ręką z tłómaczenia Scherrera, a zakończonych ustępem, który na czytelniku musi robić wrażenie, że od Scherzera pochodzi, chociaż go u Scherzera niema: „tam (do Rio Grande do Sul, Santa Catharina i Parana) powinien być skierowanym prąd emigracyjny z Galicyi“, zniknął ten bardzo przykry, a wymagający absolutnie zaprzeczenia ustęp o św. Rafale lwowskim.

Więc p. Scherzer „ze strony zasługującej na pełne ufanie“ dowiedział się, że agentom kompanii przewozowej brazylijskiej powiodło się pozyskać lwowską filię św. Rafała „dla

swoich celów“ i „nawet do tego doprowadzić, że ta filia lwowska zobowiązała się poprzeć wyemigrowanie 50.000 chłopów do Brazylii“.

Otóż w tem brzmieniu jest to wiadomość monstrualna. Zanadto mamy wiele szacunku dla ludzi, którzy stali na czele św. Rafała lwowskiego, żebyśmy na chwilę wierzyli w podobną uchwałę, czy robotę. Ale patrząc na kilka lat trwającą publicystyczną propagandę Brazylii i Parany, na koincydencję różnych faktów, nie możemy nie uczuć niepokoju, czy organa towarzystwa, ludzie z ramienia jego używani, wysełani do Genui czy dalej, rozmaici młodszy entuzyaści i dyletanci nie przeholowali. Otóż złą krajowi oddali usługę ci, co tłumacząc podnoszoną już przez całą europejską prasę broszurę Scherzera prze—kształcili ten fatalny ustęp w taką anodynę: „Zwodnemi obietnicami udało im się pozyskać we Lwowie przyrzeczenie poparcia emigracyi 50.000 galicyjskich chłopów“.

Otóż korespondencye w polskiej i ruskiej prasie, petycye do Koła Polskiego o radzenie przeciw epidemii emigracyjnej, zarzut Scherzera, jak nam wiadomo i uwagi Rządu krajowego od wiosny b. r. winny były wcześniej wywołać protesty i poważną obronę, a nie dopiero, gdy w Kole Polskiem ktoś, z całym respektem dla osób i ich intencji ośmielił się powiedzieć, że do tej opieki nad emigrantami wzięto się „jakoś nie-zgrabnie“.

W następnych artykułach przypatrzymy się z naszego stanowiska sprawie emigracyi i powiemy, czego my oczekujemy od ludzi tą sprawą się zajmujących, od instytucyj, rządu krajowego i wiedeńskiego i wspólnego — a przedewszystkiem od Sejmu i kraju.

Dr. Tadeusz Rutowski.



„Kapitalizm fin de siècle“

Dra Rudolfa Meyera.

I.

Autor dostatecznie jest znany jako zacięty przeciwnik Bismarka i jego zasad ekonomiczno-politycznych.

W ciągu lat 20 wydał przeciw niemu cały szereg broszur („Walka o emancypacyą stanu czwartego“ — „Polityczni twórcy Niemiec i korupcy“ — „Przyczyny amerykańskiej konkurencji“ etc.), pisał na żelaznego księcia i we francuskim języku namiętne filipiki i każdą jego myśl, każdą reformę umie przedstawić jako zamach na polityczną przyszłość Prus i sprzeniewierzenie się dziejowemu ich posłannictwu.

Sędziwy już dzisiaj wiek nie zrobił go spokojniejszym i więcej przedmiotowym.

Dzisiejszy rozstrój cesarstwa niemieckiego, rozrót i potęgę socyalnej demokracji, okropny w skutkach swych biurokracyzm i militarizm Prus uważa Dr. Meyer za owoc politycznych błędów bismarkowskich.

Niemal co trzecią stronicę napotyka się zdanie, że jeżeli dziś rewolucya wygląda z za każdego węgła państwowej budowy Prus, to tylko z winy kapitalistycznej polityki Bismarka. Dr. Meyer należy do t. zw. socyalnych konserwatystów. Choć sam jest junkrem i protestantem, w katolicyzmie i socyalnej demokracji upatruje dwie potęgi cywilizacyjne, które położą koniec kapitalizmowi i stworzą nowy porządek społeczny.

Z tego względu jest on charakterystycznym wielce pisarzem.

Przed laty dwudziestu spodziewał się, że jego dzieło: „Walka o emancypacyą stanu czwartego“ odegra w Niemczech tę samą rolę, co ongi głośny romans „Sybill“ Disraelego w Anglii. Marzył, że Niemcy wstąpią pierwsze jako państwo na drogę reform socyalnych i uzyskają przez to hegemonią wśród narodów Europy.

Program stronnictwa rozbił się w niwecz o opozycyą żelaznego księcia, przewódców partyi (między nimi i autora) skazano

na banicyą. Ten też jest główny powód nienawiści do Bismarka i zółciowego poglądu na obecny stan cesarstwa, przyczem nie obejdzie się bez uwag właściwych „niepoznanym wielkościom“, że inaczej by się dziś działo, gdyby Caprivi, cesarz Wilhelm II etc. wziął sobie do serca tę lub ową uwagę Dra Meyera.

Sokratesowską pokorą i ową naiwnością mędrców nie grzeszy zgoła. Nie zapomina nigdy, że jest doktorem „der Staatswissenschaften“ i staje zawsze na koturnie doktrynerów śmiałych, czasami nawet nazbyt śmiałych w swoich hipotezach.

Rozporządza jednak sporym zasobem rzetelnej wiedzy, zna doskonale ekonomiczną historję Rzymu, Bizancyum i wieków średnich, obracał się zawsze w kole uczonych i dyplomatów, a więc choć czasami fałszywe zjmie stanowisko n. p. w kwestyi o cło zbożowe, zawsze ma jednak horyzonty myśli szerokie i rozległe, wiele świeżości w poglądach, a nawet i genialności w pomysłach. Mimo sporej dozy zarozumiałości jest szlachetnym i śmiało walczy w obronie przyszłych ideałów ludzkości, kiedy skończy się wszechwładztwo kapitału nad prawami jednostki, a społeczeństwo pocnie się klasyfikować i różniczkować nie według wyposażenia majątkowego, ale darów naturalnych człowieka, będącego przecież obrazem Boga, a nie złotego cielca.

Z tem wszystkim jednak wiele cierpliwości potrzeba w czytaniu książki. Częste cytaty, opowiadanie rozmaitych epizodów utrudniają domacanie się kłębka myśli przewodniej, do czego przyczynia się i to, że autor przedewszystkiem pisał dla swoich przeciwników i przyjaciół politycznych, wiele więc rzeczy omijał lub szkicował tylko plamami jako pow-zecznie znane i osądzone. Punktem wyjścia dla niego jest produktywność kapitału. Zgodnie z Marxem utrzymuje, że kapitał przez się jest martwym i produktywnym stać się może tylko przez kupowanie pracy ludzkiej. O ile taniej ją nabywa i o ile drożej sprzedaje, o tyle jest produktywniejszym, o tyle wyższą stopa procentowa. W czasach staro-rzymskich kupowanie pracy ludzkiej miało formę niewolnictwa, w którym trzy się rozróżnia okresy: pierwszy trwa do wojen punickich, drugi od wojen punickich aż do cesarstwa, trzeci od Augusta aż do upadku państwa zachodnio-rzymskiego. Dopóki niewolnictwo było stosunkowo niewinną instytucją, normowaną patryarchalnymi obyczajami, stopa procentowa była niską, prawo 12 tablic określa ją najwyżej na $8\frac{1}{2}\%$.

Dopiero po wojnach punickich, kiedy korsarze cylicyjscy dostawiali niewolników tysiącami na targi, powstają szerokie latifundia, fabryki i kopalnie, a równocześnie wzrasta procent; w prowincyach rzymskiej imperyi dochodzi aż do 48% .

Gospodarowanie niewolnikami musiało się dobrze wypłacać właścicielom ziemskim.

Żywiono ich plewą jęczmienną, do której dorzucano garść soli i trochę oliwy. Dzienna porcja zboża niewolnika wynosiła 1 chōnix ($\frac{1}{48}$ medimnos = $\frac{1}{8}$ korca rocznie). To była najwyższa pozycja w rubryce wydatków właściciela tak, że po strąceniu części kapitału zapłaconego za niewolnika, cały produkt dziennie jego pracy stawał się jego własnością.

Po wytepieniu gniazd korsarskich ustał handel ludźmi, niewolników trzeba było hodować, cena ich musiała równoważyć kosztą wyżywienia. Za czasów Xenofonta można było kupić niewolnika za 60 zlr., Hannibal pozwalał wykupować jeńców za 123 zlr. od głowy, co w przybliżeniu przedstawiało wartość niewolnika w owym czasie.

Za czasów Columelli w 50 lat p. Chr. za niewolnika do uprawy roli płacono już od 360—480 zlr., a potem jeszcze i więcej. Im praca ludzka stawała się droższą, tem tańszą była ziemia.

Wartość jej spadła wówczas w stosunku 5 : 3; niewolnik kosztował 6—8000 sestercyów, jugerum (morg) winnicy 1000 sestercyów, a więc tyle co 6—8 morgów ziemi.

Równocześnie następuje nagła zniżka stopy procentowej; w początkach cesarstwa chyli się między 12—10⁰/₀, za Honoriusa wynosi już tylko 6⁰/₀, a w cesarstwie bizantyńskim oznaczono jej maximum dla chłopca 4⁰/₀, dla senatora 6⁰/₀, dla handlu morskiego, w którym trzeba wziąć na uwagę premię hazardu 12⁰/₀.

Ta analiza zdaje się udowadniać, że produktywność kapitału jest wypływem panowania jednego człowieka nad pracą drugiego że zatem nie opiera się na żadnym prawie naturalnem, ale jest tylko „polityczną kategorią“, wynikiem takich praw i organizacji państwowej, iż z pracy robotnika jedna tylko część dostaje się jemu samemu jako zapłata, inną zaś lwiałą część zabierają klasy kapitalistyczne.

Nie wykluczoną jest więc możliwość, że może nastąpić taki okres cywilizacyjny, w którym ten stosunek, nie będąc koniecznością natury, zupełnie ustanie. „Ab esse ad posse valet illatio“ — autor genialnym sofizmatem udowadnia, że takie stosunki już istniały między r. 1000—1500 naszej epoki.

Ustęp ten prześlizchny, choć nieco naciągnięty do tła fałszywych rozumowań, można śmiało nazwać apologią społecznej działalności Kościoła, tem wymowniejszą, że wyszła z ust protestanta.

W międzyczasie między panowaniem starożytnego kapitalizmu, gruntującego się na niewolnictwie, a między kapitalizmem nowo-

żytnym, datującym się od Odrodzenia, mającym swe źródło „w niewoli czasowej“ w pracy „najemniczej“ kapitał stracił pozornie immanentną własność, przestał się procentować. Jakby w przeczuciu, że procentowanie się kapitału z niewolnictwa wychodzi i do niewolnictwa wiedzie, Kościół zwalczał kapitalizm przez ostre przepisy o lichwie „de usura“.

Ewangeliczna zasada: „Pożyczajcie, niczego za to nie spodziewając się“ — „mutuum date, nihil inde sperantes“ jest żywym protestem Kościoła, jakoby kapitał przez się był produktywnym. Równocześnie zbija ta zasada przypuszczenia, że Kościół był przeciwnikiem własności.

Tylko sekty kacerzy głosiły komunizm, Kościół stał na straży praw własności, a zwalczał tylko mnożenie się kapitału bez pracy.

Robotnik otrzymywał wtedy zupełną zapłatę — owo wielkie słowo „dignus est mercenarius mercede sua“ nie było prawdą zamkniętą w księgach świętych, ale zasadą normującą wszystkie stosunki ekonomiczne. Chłop nie płacił wtedy procentów bankowych, daniny i pańszczyzna była mniej więcej tem, czem dzisiaj jest podatek, bo dziedzic był dlań przedstawicielem władzy politycznej.

Robotnik miejski był majstrem cechowym, który ma wprawdzie czeladź i terminatorów, ale cały system jest tak misternie urządzony, że każdy czeladnik po pewnym ściśle oznaczonym czasie zostać musi majstrem i od czeladzi pocznie odbierać nadwyżkę swej pracy, oddawanej swemu dawniej pryncypałowi.

Majster więc sam pobiera tylko zarobek, a nie zysk przemysłowca, nie ma pojęcia o procentowaniu się kapitału „włożonego w interes“.

Kapitał nie był podstawą produkcji, ale warsztat pracy.

Zakazy pożyczania na procent, uniemożliwiające posługiwanie się kapitałem w przedsiębiorstwach, strzegły od wyzysku i konsumenta, boć i on jest dzieckiem Kościoła.

Działo się to przez ustanawianie „sprawiedliwej ceny“.

Starzy kościelni pisarze wartość rzeczy oceniają zawsze według pracy, nie normują jej nigdy jak dzisiaj „odszkodowaniem“ za użycie kapitału.

Najwyższą ekonomiczną zasadą Kościoła wyrównywająca sprawiedliwość.

Chrześcijaństwo było więc rzeczywistą federacją narodów z zupełną prawodawczą i wykonawczą organizacją, z papieżem na czele, która odniosła zwycięstwo w walce z cesarstwem, dążącym do wszechwładzy brutalnej.

Kościół opanowywał tak życie ekonomiczne, jak i duchowe społeczeństwa i co zyskiwał w dobrach doczesnych, ułatwiało mu zdobywanie dóbr duchownych.

Srodków dzisiejszego biurokracyzmu nie używał nigdy, ale powagą swą wywierał taki wpływ na prawny przebieg wszystkich układów, umów i na cały ruch przemysłowy, jakiego państwo nigdy nie posiadało.

Concilium carthaginiese ustanowiło obrońców dla biednych i Kościół ujmował się nie platonicznie za nimi, ale czynnie, bo jego majątek był dziedzictwem biednych.

W takich warunkach żyły pokolenia szczęśliwe i swobodne.

Cechy stały otworem dla wszystkich utalentowanych, w miastach powstawały wspaniałe budowle, gotyckie tury, gospody i szpitale. Bramy miast chroniły zbiegów ze wsi przed panami feudalnymi, którzyby chcieli o nich się dopominać. Dziedzic zatem z obawy, żeby mu „dusze“ nie uciekały do miasta, zmuszany był dla nich do ustępstw. Daniny ze spadającą wartością pieniędzy były coraz mniejsze; przy 108 dniach świątecznych i różnych uroczystościach lokalnych działo się, że po dwóch dniach roboczych następował dzień wypoczynku. Niedziela rozpoczynała się w sobotę popołudniu, jak dzisiaj w Anglii; „szewski poniedziałek“ był u wszystkich robotników świętym zwyczajem.

Szczypy smolne i łożówki nie pozwalały na pracę nocną, normalny dzień roboczy oznaczał sam Bóg. Słońce wzywało do pracy, zmierzch do spoczynku.

Nie dziw też, że lud był wesół, tryskający humorem i dowcipem, pełen sił czerstwych i ochoty do życia. Był to lud, a nie proletaryat dzisiejszy zgłodniały, przybity do ziemi, z gorzkim uśmiechem na ustach, z płomieniem skrytej nienawiści w wygasłych źrenicach ku wszystkiemu, co szczęśliwsze, bogatsze.

Posiadłość większa była, że tak powiem, zahypotekowana dziesięcinami dla Kościoła i zobowiązaniem czynienia jałmużny.

Przy takim porządku własności kapitały wielkie nie mogły się rozwijać, ale kwitł spokój socjalny i szczęście ludzkie.

Nie miano pojęcia o finansowych spekulacjach, nie znano pożyczania na grunt, ni kredytu osobistego, lichwą trudnili się tylko żydzi, którzy jako obcy w narodzie, nie byli objęci zakazami o lichwie i stali pod opieką cesarza.

Od czasów wojen krzyżowych powstaje dopiero weksel.

Rycerz nie zabierał wszystkich pieniędzy ze sobą, ale składał je u siebie w kraju u zaufanego kupca, który mu wydawał list płatniczy do swego przyjaciela we Włoszech.

W miastach też włoskich, pośredniczących w handlu międzynarodowym z Lewantem, najrychlej rozwija się kapitalizm kupiecki, który wszakże różni się wielce od kapitalizmu nowożytnego.

Majątku nie uważano za środek do dalszego wzbogacania się, ale za warunek wyższego i lepszego używania życia. Kiedy dzisiejszy kapitalista najczęściej bywa duchowo dzikim barbarzyńcem, w wiekach średnich kapitał szedł zawsze w parze z wykształceniem i zamilowaniem do sztuk.

Nazwiska rodzin protegujących sztuki i literaturę: Colonna, Orsini, Annibaldi, Fieschi, Gaëtani, to wszystko firmy kupieckie drobnych rzeczypospolitych włoskich, Medycyusze dumni byli z trzech pigulek aptekarskich w swym herbie.

Za czerwieńce zyskane w sprzedaży cynamonu, goździków, bakalii i tkanin wschodnich, kupiec włoski nabywał klejnoty, książki i obrazy, ubierał się sam w złotogłowie i czerwieni.

Po odkryciu drogi morskiej do Indyi wschodnich i Ameryki, kapitalizm przeniósł się na czas krótki do Lizbony, a potem osiadł na stałe w Anglii i Holandyi.

Zwiększona produkcya srebra przez techniczne ulepszenia w Niemczech w 13—15 wieku i przez odkrycie bogatych kopalni w Ameryce, wywołuje rewolucyę w cenach.

Towary i płody stają się droższe, praca ludzka tańszą, bo choć robotnik otrzymuje tę samą zapłatę, co dawniej, drożej musi jednak płacić za chleb i odzież. Zwyczajka cen była silną pobudką dla dziedziców do ciemnienia chłopów i zmieniania ich powoli w poddanych.

W wiekach średnich, kiedy płody ziemne były tanie i trudno było znaleźć na nie nabywcę, leżało w interesie rycerzy utrzymywać jak najwięcej służby, jak najliczniejszy dwór. Co dawniej zjadała służba i dwór, teraz idzie na targ, socyalne i polityczne znaczenie szlachty mierzy się nie wielkością otaczającej ją drużyny, ale wysokością, jakie ma jej giroconto w banku.

Konfiskata majątków kościelnych wydarła nietylko część ubogim, ale stworzyła proletaryat, tłumnie garnący się do miast wielkich. Poczynają się skargi na przeludnienie, które głosi w Anglii Maltus, a przed nim Ortes we Włoszech.

Umieszczanie nadmiernej ludności w workhouse, subwencyonowanie emigracyi, 3-letnie przetrzymywanie 4 milionów ludzi po kasarniach w wieku, w którym byliby najpłodniejszymi, nie zaradza złemu. Coraz więcej ludzi, a mniej chleba. Karol Marx trafnie nazwał reformacyą adaptacyą chrześcijaństwa do kapitalistycznych potrzeb burżuazyi.

Ludzkość zapomniała o zasadzie, że tak trzeba przejść przez życie ziemskie, aby nie uronić nic z niebieskiego.

Interes osobisty stał się celem wszystkich dążności, egoizm jedyną sprężyną działania. A że egoizm najrychlej znajduje swe

zadowolenie w handlu, więc interesa handlowe stały się normą polityki wszystkich państw. Prawie wszystkie wojny w dziejach nowożytnych mają cechę wojen handlowych. Takimi były wojny między Francją, Holandją a Anglią, po części także i wojna o sukcesję hiszpańską.

Wojny napoleońskie zmierzały ostatecznie do przeciwstawienia Anglii kontynentalnego systemu handlowego, Stany Zjednoczone i hiszpańskie kolonie oderwały się od swych krajów macierzystych tylko z ekonomicznych pobudek. Minęła idealno-religijna epoka dziejów, zaczęła się służba złotego cielca.

(Dokończenie nastąpi.)

Karol Wróblewski.



Margrabia Salisbury.

(Sylwetka).

W czasach, w których władzę polityków ukrócają warstwy społeczności, dochodząc do samowiedzy swego znaczenia w ustroju państwowym, dopominając się o współudział w kierownictwie spraw, lub o ściśle sprawozdanie z czynności swych mandataryszki, trudno bodaj w państwie konstytucyjnem o męża stanu, któryby tak wielką posiadał władzę i tak szerokie pole działania, jak lord Salisbury. A w ciągu jego karyery politycznej władza jego nigdy nie wzrosła do takich rozmiarów, ani na tak silnej była ugruntowaną podwalinie jak obecnie, gdy rozpoczął swą trzecią administrację.

W izbie gmin rozporządza silnie zwartym obozem, liczącym większości sto pięćdziesiąt i dwa głosy, a przykuta do jego rydwanu partya liberalnych unionistów, rzucając nań sympatyczniejsze światło w oczach żywiołów liberalnych, podnosi jego znaczenie. Izba wyższa zaś — z wyjątkiem tylko czterdziestu parów liberalnych — jest nad wyraz powolnym instrumentem w rękach premiera, czyniąc go, bez względu na to, jaka partya kieruje sprawami publicznymi, absolutnym panem sytuacji, bez którego sankcyi nie może się obyć żadna ustawa gabinetu liberalnego. Na domiar wyposażony zupełnem zaufaniem kraju i de facto nieograniczoną swobodą w kierownictwie polityki zagranicznej, tudzież, jeśli o to chodzi, szczególnymi i wyjątkowymi względami skrępowanej parlamentaryzmem królowej — prezes gabinetu i minister spraw zagranicznych zajmuje stanowisko iście dyktatorskie.

Salisbury występował na arenie publicznej pod trzema nazwiskami. Jako drugi syn margrabiego Salisbury — urodzony w roku 1830 — nosił tytuł lorda Roberta Cecil aż do zgonu starszego brata, po którym oddziedziczył nazwisko wicehrabiego Cranborne. Wreszcie po śmierci ojca otrzymał wraz z fotelem

w izbie parów i magnacką fortuną nazwisko głowy starożytnego i zasłużonego rodu Cecil'ów.

Karyerę swą rozpoczął on w roku pięćdziesiątym trzecim jako konserwatywny poseł Stamfordu i zasiadał w izbie gmin przez lat piętnaście, do stosunkowo szczupłych dochodów młodszego syna dołączając wynagrodzenie za liczne artykuły wstępne, których dostarczał redakcyi Times'a. Dotąd jeszcze utrzymuje stosunki z redakcyami „Quarterly Review“ i „National Review“, gdzie czasami wyluszcza swe poglądy na sprawy żywotnie. W izbie zabierając głos często, dał się poznać jako cięty, przytomny i niebezpieczny przeciwnik. A rzecz szczególna, że jego ściśle krytyczne i zaprawione subtelną ironią wycieczki skierowywały się najczęściej przeciwko Disraeli'emu, z którym później kolegował w radzie ministeryalnej. Znakomity ten mąż stanu bowiem zdradzał tendencye demokratyczne, z któremi syn margrabiego Salisbury'ego nigdy nie sympatyzował. Przez cały czas urzędowania Palmerstone'a lord Robert Cecil był najkonserwatywniejszym z torysów. Jeszcze w roku 1866 w obradach nad billem reform, przez Russell'a i Gladstone'a adwokatowanym, był rzecznikiem zasad ultrazachowawczych, głosząc, że nietylko przedłożone projekty są niewłaściwe, lecz, że wogóle wszelkie ulepszenia na drodze parlamentarnej przeprowadzone są zbyteczne. Udział jego w debatach i zgrabna argumentacya zdobyły wojowniczymu posłowi z Stamfordu tekę ministra dla Indyi w gabinecie lorda Derby. Lecz w rok później (1867), gdy Disraeli i Derby przedłożyli niespodzianie projekt reform, nacechowany duchem demokratycznym, lord Cecil złożył urząd, nie idąc w ślady większości kolegów o giętszych karkach. Fakt ten jest jednym z całego szeregu objawów nieugiętości w przeróżnych formach. Lecz niezłomność ta nie wykluczała naturalnej ewolucyi w rozwoju jego zapatrywań i ideałów politycznych. Znany liberalny publicysta, Henryk Lucy podnosi w swej przedmowie do mów Salisbury'ego, że bill Disraeli'ego nie sięgał tak daleko, jak projekt z roku 1880, do którego skreślenia dzisiejszy prezes ministrów angielskich sam przyłożył ręki, upatrując w tem dowód pewnego przekształcenia się poglądów. Niemniej wszakże byliśmy skłonni widzieć w tej okoliczności objaw jego taktyki parlamentarnej, do której uciekał się niejednokrotnie jako przewodca torysów.

Jedną z najwybitniejszych cech Salisbury'ego jest zmysł praktyczny, którego dał liczne dowody w życiu prywatnem, zarówno jak publicznem. Zamiłowany do nauk ścisłych, a mianowicie chemii (gdyby nie był margrabią, byłby fizykiem).

W Hatfieldzie posiada on laboratorium, w którym spędza wiele miłych godzin swego życia. Lubo skutkiem wpływów rodowych konserwatysta w każdym calu, był on jednym z pierwszych, którzy przystosowali tak nową rzecz, jak światło elektryczne. Korzystając z rzeki, przecinającej jego park, wzniósł tamże zakład, dostarczający pałacowi taniego oświetlenia. W roku 1871 złożył świadectwo swej praktyczności, podjawszy się wraz z lordem Crains oświetlenia zakładowych spraw drogi żelaznej z Londynu do Dowru, a działalność jego przyczyniła się nie mało do podniesienia jego znaczenia w obliczu praktycznych ziomków.

Gdy Disraeli w roku 1874 dostał się do rządów, nastąpiła zupełna zgoda pomiędzy dawnymi wrogami i margrabia nietylko objął znowu tekę Indyi, lecz wszedł z swym zwierzchnikiem w przyjazne stosunki. Odtąd, gdy Disraeli został parem, lordem Beaconsfield'em, dwaj ci wybitni politycy zasiadali obok siebie, konferując z sobą w zupełnej harmonii.

Jak wynikało z natury jego urzędu, Salisbury zajmował się żywo sprawami zagranicznymi, nie ograniczając się bynajmniej na kwestyach bezpośrednio wchodzących w zakres jego wydziału. Dlatego to został wysłany do Konstantynopola, w roku 1876, gdzie przewodniczył na konferencyi, która nastąpiła po wojnie turecko-serbskiej. A misya ta stała się niejako punktem wyjścia dominującego jego stanowiska w gabinecie. Wiśnię o niej przyjęto z pewnem nieukontentowaniem, bo panowało przekonanie, że o ile Disraeli sympatyzuje z Turcją, o tyle Salisbury, członek Kościoła anglikańskiego, jest entuzjastycznym przyjacielem chrześcijańskich ras bałkańskich. Wprawdzie względy polityczne wzięły górę i Salisbury pokierował konferencyą w myśl Beaconsfield'a, lecz antiturecka mowa, wygłoszona w roku bieżącym, krótko po objęciu rządów, zdaje się dowodzić, że ówczesne twierdzenia nie były bezpodstawne. Salisbury pojął wówczas doskonale doniosłość misyi tego rodzaju i zmusił Beaconsfielda do powierzenia jej sobie, grożąc wystąpieniem z gabinetu, co byłoby spowodowało rozbięcie ministeryum. W dwa lata później też, w chwili, gdy dyplomacya angielska przechodziła próbę ogniową, energiczny minister dla Indyi prześcignął lorda Derby i otrzymał, po ustąpieniu tegoż, tekę spraw zagranicznych. Odrazu śmiało i jasno sformułował politykę W. Brytanii w sprawie wschodniej, występując przeciwko paragrafom pokoju w San Stefano, a dokument ten maluje w całej pełni charakter premiera, pewność siebie i dumę Anglika i arystokraty. Udowodnił zarówno wobec zagranicy jak wobec kraju, że Anglia nareszcie

rozumiała swą rolę, bo nie zawahała się zacząć tych punktów traktatu, które sprzeciwiały się interesom Anglii i Europy na półwyspie bałkańskim. A dokumentowi towarzyszyły przygotowania wojenne, jako odpowiedź na arogancką notę Gorczakowa, który widział się zmuszony tym krokiem do rozpoczęcia układów z dworem St. James. Na kongresie berlińskim usiłował Salisbury uratować dla Turcyi o ile możności jak najwięcej i odsunąć Rosyą od Carogrodu.

W jednym z przemówień jego w izbie w roku 1884 znajdujemy ciekawe, zwłaszcza wobec interesu, jaki budzi obecnie rywalizacya Anglii i Rosyi nad Bosforem, określenie taktyki dyplomatycznej Rosyi, a słowa te dadzą nam zarazem pojęcie o dyalektyce Salisbury'ego. Zarzuca on w swej mowie Gladstone'owi, iż mówiąc o izbie lordów, „posługuje się stylem, jakim odzywa się Rosya do małych państw, które stopniowo pochłania. Dyplomatyczna korespondencya Rosyi nacechowaną jest stemplem najwyższej moralności i przepełniona najgorętszemi zaręczeniami szczytnych i bezinteresownych pobudek. Lecz w dyplomacyi niema tego ani śladu. Natomiast znajdziemy zawsze pełne głębokiego ubolewania zwroty, że małe to państwo, czy jest niem Turcyą, czy też inne, niezupełnie zastosowało się do życzeń Rosyi. Potem zjawiają się okoliczności, które ogromny wywierają nacisk na cnotliwy rząd rosyjski i potem Rosya — ten cnotliwy rząd moskiewski — okazuje się koniecznie zmuszonym zniszczyć to małe państwo“.

Antagonizm dwóch tych mocarstw zabłysnął teraz jaskrawo. Salisbury wszakże zarzucił rolę protektora Turcyi, wystąpienie jego bowiem w sprawie armeńskiej nosiło ślady stanowczości graniczącej o prowokacya. Akcyja jego dotąd nie przyniosła pomyślnych owoców. Wprawdzie większość prasy i sam premier, jak widać z mowy jego na bankiecie lord majora, stara się przedstawić wynik konstantynopolskich konferencyi jako zwycięstwo, ale jest to zwycięstwo Pyrrhusowe. Moskwa bowiem objęła po Anglii wygodną i dobrze się rentującą posadę protektora, którą sto lat temu zajmowała na innej arenie . . . Za tę klęskę, którą da się może powetować, spada wina na Salisbury'ego, na jego „dumną zapalczywość“ i ciężką rękę, bo aczkolwiek poszedł on drogą wytkniętą przez ostatnią administracyę, słusznie dowodzi Daily Chronicle, że stanowczość lorda Rosebery'ego zamienił w groźbę. Atoli pomimo ostrej krytyki i ubolewania nad chwilowem odosobnieniem W. Brytanii, organy liberalne ufają w doświadczenie, zabiegliwość i patriotyzm margrabiego. Wogóle bowiem Salisbury jako kierownik sprawami zagranicznymi, znajduje uznanie obozów wszyst-

kich odeieni z wyjątkiem grupy zbrojnych radykalistów i jako taki uwiecznił swe imię na kartach historii.

Minęły czasy, w których minister mógł poszczycić się swym własnym i odrębnym systemem strategicznym. W kraju parlamentarnym chodzi przede wszystkim o jednolitość polityki zagranicznej, a sukces, czy niepowodzenie zależy nie tyle od skłonności wykonawcy, ile od jego taktu, zręczności i energii, z jaką wykonuje plany, w ogólnych zarysach przekazane sobie przez przeszłość. W tych warunkach przeto powodzenie i niepowodzenie ministra ma dość ciasno zakreślone granice. Lecz nie ulega wątpliwości, że Salisbury wykazał swe kwalifikacje i wyzyskał szanse dla swej sławy. Gorący wielbiciel premiera, prof. Traill w cennej biografii Salisbury'ego tak pisze w tej materii:

„Potęgę, jaką los włożył w najzdolniejsze ręce w Anglii, wyzyskał on w sposób szlachetny (nobly). Liczył prawie lat pięćdziesiąt, zanim odnalazł właściwą sobie sferę w polityce, lecz z każdym rokiem, który spędził w urzędzie, udawał coraz dobitniej przed rodakami, że ją istotnie odnalazł. Zwykle też wyobrażamy go sobie jako ministra spraw zagranicznych, a nie prezesa gabinetu, mianowicie dlatego, że instynktownie odczuwamy, iż Salisbury jest w swoim żywiole w tym charakterze“. Szczególnie dobitnie uwydatnił on swe zdolności w korzystnym rozgraniczeniu niemieckich i angielskich terytoriów w Afryce, które jest jednym z największych dzieł polityki międzynarodowej na wielką skalę.

Natomiast w charakterze prezesa gabinetu i przewodcy torysów postać jego przedstawia się dziwnie blade, robiąc prawie wrażenie abstrakcyi trudnej do pochwycenia. Prof. Traill nawet nie może temu zaprzeczyć.

Dowództwo nad torysami objął on w roku 1881 po zgonie Beaconsfield'a, nie bez opozycyi ze strony konserwatystów, którzy zarzucali mu brak popularnych sympatyj i arystokratyczną wyniosłość w obejściu. Jednakże, gdy lord Crains okazał się niestosownym, wybór mógł paść tylko na lorda Salisbury'ego. Dla drugiej izby atoli wyznaczono innego przewodcę. „Na tem stanowisku — jak pisze prof. Traill — jest on dostatecznie okazałą postacią, nie będąc oryginalną, interesującą, ani jednym słowem charakterystyczną indywidualnością“. Znikły meteor polityczny, lord Randolph Churchill, nie mający nic wspólnego z nim, temperamentowo, nienawidził „tchórzliwego“ prezesa i pokusił się o obalenie go z fatalnym dla siebie wynikiem. Salisbury nie odznaczył się przez to, co zrobił, lecz raczej przez to, czego nie zrobił. A w czasach, gdy uprzywilejowane

kasty upatrują w każdej projektowanej zmianie ślad socjalizmu, czy anarchii, jest to zaleta, za którą ludzkość gotowa wznosić pomniki. Jakoż, gdy Salisbury stoi u steru państwa, ogarnia kraj cały spokój, albo raczej głęboki sen. Tę charakterystyczną bezczynność zdaje się królowa cenić w swym zaufanym ministrze najwyżej. O ile też administracja liberalna grzeszyła nadmiarem postulatów, o tyle programat Salisbury'ego wygląda na białą kartę, na której zapisze on sobie, co zechce. Jest zresztą rzeczą powszechnie wiadomą, że syty honorów Salisbury nie ceni sobie wysoko prezesostwa w gabinecie, tem więcej, że podupadł na zdrowiu. Vox populi wyznaczał na to stanowisko jego siostrzeńca, Artura Balfoura, który w rzeczy samej przoduje konserwatystom. Kilka miesięcy bowiem przed upadkiem Rosebery'ego zachowawczy i wpływowy Carlton-Club ogłosił przypuszczalną listę nowego ministryum, Balfour'a mianując prezesem gabinetu, podczas gdy inni wysuwali kandydaturę księcia Devonshire'a. Lecz królowa nie rozstała się z swym zaufanym ministrem.

Salisbury dopiero wówczas budzi się ze snu, gdy groźna chmura nadciąga od strony radykalnej. W opozycyi kładzie swe veto bezwarunkowo, aby przyszedłszy do rządów, wytrącić broń z rąk przeciwnika, podejmując ich ideę w innej formie. Ta taktyka objawiła się w czasie jego drugiej administracji w kwestyi home-rule'u, a obecnie w sprawie zreformowania izby wyższej. Pomimo, że okazał się on nieprzejednanym krytykiem zamysłów lorda Rosebery'ego, nosi się teraz z myślą wcielenia do izby wyższej świetlejszych żywiołów. Naturalnie reforma Salisbury'ego, można przepowiedzieć z pewnością, daleką będzie od zespokojenia gorących życzeń hrabiego-radykała, który pragnie przenieść punkt ciężkości do obieralnej izby gmin, lecz przynajmniej w części usunie anachronizmy w ustroju tego zabytku wieków średnich, który tak jak urząd lorda majora i kilka innych instytucyi, w jaskrawej jest sprzeczności z nowoczesną Anglią, wogóle nie pozostającą przecież poza cywilizacją.

Nie będąc niepopularnym, Salisbury nie jest popularnym. Jak Jowisz, spowity w obłoki, króluje on tam gdzie na wyżynach, niewidoczny i nieprzystępny dla szerszych wcale społeczności. Nikt też mniej nie ubiega się o względy narodu. Ten wyniosły pan z panów bowiem ma instynktowny wstręt do pospólstwa i jak najskrupulatniej unika retorycznych sztuk demagogów. Jako mowca niema w izbie lordów równego, lecz na mównicach zgrabne epigramaty mijają bez wrażenia, a subtelna ironia ściąga nań miano sceptyka. Niema pomiędzy nim

a słuchaczami owej sympatycznej nici, która mniej zdolnym mówcom zdobywa oklaski. Nie rozumie on mas i one jego nie rozumieją. Wrodzona powściągliwość stoi raz na zawsze na przeszkodzie zbliżeniu się do obcych sobie żywiołów, dla których jego sposób rozumowania i dowcip są nieprzystępne. To też stroni on jak najwięcej od mównic publicznych. Stąd kraj go zna tylko z czynów, a te leżą prawie wyłącznie w zakresie polityki zagranicznej. Atoli w tej sferze zdobył sobie wieniec laurowy, dzięki doświadczeniu, energii, nieugiętości, dumie, która może zbyt czyni go pochopnym do posługiwania się środkami ostatecznymi i wreszcie męskiemu zdrowemu rozsądkowi. A właściwości te uczyniły z niego bezsprzecznie najdzielniejszego ministra spraw zagranicznych w Anglii.

Londyn w listopadzie 1895.

M. Wierzbński.



Z Rosyi.

(Sprawa polską).

W r. 1888 kilku Polaków, należących do miejscowego „Turnvereinu“, powzięło myśl zawiązania własnego kółka gimnastycznego. Zwerbowałszy kilkunastu towarzyszy, weszli oni w umowę z właścicielem szkoły gimnastycznej Nowakiem (czechem), który za pewne quantum oddał do rozporządzenia kółka swoją salę z przyrządami na parę godzin dwa razy tygodniowo. Po niejakim czasie kółko porzuciło p. Nowaka i nabywszy za fundusze swego kierownika p. K., własne przybory, ulokowało się w innem miejscu. Wkrótce jednak znowu powróciło ono do Nowaka, który zaproponował wygodniejsze warunki i w zamian za użytkowanie inwentarza naszych gimnastyków zobowiązał się przebudować salę stosownie do wymagań higieny i sztuki gimnastycznej. W nowo urządzonym przybytku kółko atletów, składające się z pracowników handlowych, farmaceutów, młodzieży akademickiej, urzędników banku i t. p. porzepiało swe siły, nadwątłone pracą biurową, w niedziele i święta urządzało przechadzki piesze w okolice, grało w piłkę (foot-baal) z Niemcami i Anglikami, a co drugą sobotę bliżsi znajomi p. K. zbierali się w szczupłym jego mieszkanku na pogawędkę przy isticie spartańskiej, jak na atletów przystało, herbatce. Raz do roku odbywał się „bal“, który miał na celu powiększyć szczupłe środki kółka, ale zawsze deficytem się kończył. Organizację swoją kółko zapożyczyło od Turnvereinu. Zarząd składał się z prezesa, jego zastępcy, skarbnika i gospodarza, czuwającego nad inwentarzem i odzieżą towarzyszy. Ustawy pisanej kółko żadnej nie posiadało, rządząc się ustną tradycją, a o jakichś daleko sięgających celach politycznych nikt z inicjatorów ani myślał. W parę lat po utworzeniu się kółka, dowiedziano się o istniejącem we Lwowie czasopiśmie gimnastycznem „Przewodnik gimnastyczny“, które nie omie-

szkano zaprenumerować, aby nauczyć się terminologii swojskiej i za postępem gimnastyki śledzić. Z pisma tego wielu z członków po raz pierwszy dowiedziało się o szeroko rozgałęzionem „Sokolstwie“ polskiem i o samej nazwie „Sokół“, której gimnastycy słowiańscy na zachodzie używają i która w Odessie zaczęła dopiero wtedy w użycie wchodzić.

W r. 1892 z powodu 25. jubileuszu „Sokoła“ galicyjskiego kilku gimnastyków, którym czas i środki pozwoliły za to, udało się do Lwowa na zjazd, sympatycznie przez towarzyszy nadpółtawiańskich witani i przywieźli ze sobą regulamin ćwiczeń. O jakimś przyłączeniu się do „Związku S.“ mowy być nie mogło, ponieważ według ustawy, przez ministerjum austriackie zatwierdzonej, do związku jedynie gniazda sokole na austriackiem terytorjum rozrzucone należeć mogą. W r. 1894 na II. zlot sokoli znowu udało się paru gimnastyków, ciekawych wystawy lwowskiej i postępów sztuki gimnastycznej. Niespełna w miesiąc po powrocie nad Morze Czarne wraz z innymi „druhami“ znaleźli się w moskiewskiej kozie.

Jednocześnie prawie z kółkiem gimnastycznym, bowiem w r. 1889, ale z inicjatywy innych zgoła ludzi, powstały w Odessie t. zw. „Środy“. Były one właściwie wskrzeszeniem pamiętnych u nas „Sobótek“, które przed wojną 1877 r. gromadziły całą omal kolonię, zaczynając od osób wysoko w hierarchii urzędowej postawionych, aż do skromnych oficyalistów prywatnych. Zarówno jak „Sobótki“ — Środy były to zebrania towarzyskie, wieczorki literacko-muzykalne, rekrutowały się jeno z osób sfery średniej zamożności i sytuacji społecznej i za cel jedyny miały w kółku swojskiem przyjemnie, a tanim kosztem czas przepędzić. Nie miały one stałego lokalu, jak „Sobótki“, ale z mieszkania jednego do drugiego wędrowały, każdy mógł na nie przyjść, przez kogoś co już był na „Środach“, przyprowadzony. Komitet gospodarski czuwał nad wyszukaniem lokalu, ułożeniem programu literacko-muzycznego i sporządzeniem kolacji, za którą stali goście płacili 1 r. 20 k. miesięcznie, a przygodni pół rubla za wieczór. Wobec takiej luźności uczestników, organizatorowie „Śród“ oczywiście nie mogliby się odważyć na nadanie „Środom“ akcentu politycznego, gdyby nawet mieli to na myśli. Ale wcale im o to nie chodziło. Pragnęli jedynie, powtarzam, dać możność ludziom, rzucenym na obczyznę, zakosztować swojskiego życia towarzyskiego oraz obndzić w miarę sił życie umysłowe. To też miały na celu odczyty popularne z dziedziny nauk społecznych, przyrodzonych, psychologii, literatury, higieny, deklamacye z poetów polskich, produkcye wokalne i muzykalne, parę przedstawień

amatorskich. Temata odczytów takich, jak „O duszy kobiecej“, „O zbytku“, „O szkodliwości palenia“, „O Zaleskim i Goszczyńskim“ i t. p. świadczą, że Środy ani „czynnej“, ani „biernej“ obrony nie propagowały. Nie mamy tu na celu wobec „błękitnych mundurów“, którym te kartki do rąk wpadną, wystawić „Środom“ świadectwa prawomyślności, ale konstatujemy fakta. W ostatnim roku istnienia „Śród“ zdarzyły się wypadki takie, jak śmierć Lenartowicza i Matejki i 75-letnia rocznica Ujejskiego. Komitet środowy uważał za właściwe przypomnieć o tem swym gościom, poświęcając część programu życiorysom tych świeczników narodowej literatury i sztuki, oraz deklamacyom utworów poetycznych twórców „Lirenki“ i „Chorału“. Ale chyba ignorancya i zła wiara może z tych trzech wieczorów manifestacye rewolucyjne zrobić, jak to uczynili żandarmi z prokuratoryą do wspólni. Na początku 1894 r. dla braku mieszkań, a raczej osób dla „Śród“ życzliwych, zaczęły one upadać i zapewne skończyłyby śmiercią naturalną, los wszakże gotował im śmierć, aureolą męczeństwa uwieczoną.

W sierpniu 1894 r. niejaki B(romiński), członek kółka gimnastycznego i zarazem komitetu środowego, złapał na gorącym uczynku kradzieży u siebie swego znajomego felczera wojskowego Grodzickiego, który coś niecoś o środach i gimnastyce wiedział od B. i od krewnych swych, w Odessie mieszkających. Poturbowany przez B., Gr. postanowił się zemścić i zadenucyonował go przed żandarmeryą, jako należącego do spisku patryotycznego w Odessie. Przy aresztowaniu i rewizyi u B. wpadnięto na ślad kółka gimnastycznego i śród i rozpoczęła się orgia poszukiwania rewolucyi polskiej w Odessie. Nazajutrz po aresztowaniu B. i znajomego jego ucznia 8. klasy O., dokonano rewizyj, a następných dni aresztowania pana N. Dziedzica, rzeźbiarza Janickiego świeżo przybyłego z Wiednia i młodego żołnierza Woł., syna znanej literatki warszawskiej, zesłanej administracyjnie do Odessy. Wieczorem 1. września na sali gimnastycznej Nowaka aresztowano 14 ludzi:

1. P. Koniecko, pracującego w war. Dietrich i Hille;
2. M. Zar..., urzędnika Banku państwa;
3. S. Terleckiego, pisarza u Sędziego pokoju;
4. B. Gosztowta, p. buchaltera lombardu;
5. K. Jabłońskiego, p. zarz. aptekarza szpitala miejskiego, członków Kółka;
6. Niehrebeckiego, urzędnika kancelaryi naczelnika miasta;
7. K. Wąsowicza, urzędnika Tow. wzajem. kredytu;
8. Cebrzyńskiego, buchaltera Newskiej Manufaktury;
9. Smakowskiego, p. aptekarza;
10. Kujawskiego, p. buchaltera w mag. herbaty;
11. Kruzińskiego, właściciela magazynu instrumentów muzycznych;
12. Talikowskiego, właśc. fabryki

rękawiczek; 13. Dobrowolskiego, jego czeladnika; 14. Drylowskiego, zegarmistrza. Nazajutrz aresztowano jeszcze p. Naakego, rysownika w redakcyi „Odeskie Nowosti“.

Cztery tygodnie panował spokój i zaczęto się spodziewać, że aresztowanych wypuszczą. Naraz w nocy z 28. na 29. września aresztowano w Odessie znowu 14 osób. W tej liczbie:

1. P. S. Krimnery, przedstawiciela firmy moskiewskiej Zenzmow; 2. W. Roźdł., komisanta zbożowego; 3. Z. Czajkowskiego, urzędnika min. skarbu; 4. A. Lew..., p. adwokata przysięgłego; 5. Barcza, urzędnika kolei; 6. Ant..., rękawicznika; 7. Mianowskiego, prowizora apteki; 8. Kozikę, buchaltera banku Bessarabsko-tureckiego; 9. Heyna, ucznia szkoły muzycznej i 5 studentów uniwersytetu Milk., Mil., Niet., Kwaśn., Tust. Jednocześnie w Warszawie aresztowano 2 braci Barcz., jednego stud. Uniw. warsz., drugiego artystę-muzyka, oraz Mys., farmaceutę i w Kijowie G., również farmaceutę, w Niemirowie dwie siostry B., jedną ociemniałą od urodzenia. Nieco później aresztowano w Odessie Wecz., kandydata na posadę sędziego, Bil., p. T. Wołowska, w Warszawie jej córkę p. Dz... i na Ukrainie p. Sawickiego. W listopadzie dokonano rewizyi w mnóstwo domach. Pociągnięto do odpowiedzialności z pozostawieniem na wolnej stopie w Odessie, Moskwie, Kijowie, na Wołyniu i na Litwie:

1. A. Przyg. 2. Bol. Krzczk. 3. A. Zwol., 75-letniego starca. 4. A. Bor. 5. Hol. 6. Wąs. 7. Gad. 8. Zal. 9. Zal. S. 10. Mid. 11. Bisk. 12. Ram. 13. Ant. 14. Prokop. 15. Łysak. 16. Mal. 17. Poraf. 18. P.

Kobiety:

1. Zw. 2. Wąs. 3. Giec. 4. Czajk. 5. Bork. 6. Rys. 7. Ostrom. 8. Kic. 9. Stęp. 10. Boehwic. 11. Wąs.

Pociągano do odpowiedzialności osoby podejrzane o należenie do „Sokoła“, oraz do komitetu „środkowego“, a również gospodarzy lokalów, gdzie odbywały się zebrania.

Aresztowanym zakomunikowano dekret uwięzienia, według którego oskarżeni zostali na mocy 250. i 251. artyk. kodeksu kar głównych i popraw., z nich pierwszy mówi o przygotowaniu do zbrojnego powstania w mniej lub więcej dalekiej przyszłości, które wszakże udaremnione zostało dzięki przezorności władzy, drugi zaś o rozszerzaniu, oraz o przechowywaniu odezw rewolucyjnych. Jak można było wnosić z pytań, zadawanych przy badaniu, czy to wskutek zeznań denuncyanta Grodzickiego, czy też nie należytego orientowania się w sprawie, w pierwszej chwili władze przypuszczały istnienie jednolitego spisku, dopiero później wyeliminowane zostały jako niezależne 1. Sprawa

„Kółka“ gimn., które zawsze tytułowano było przez inkwizytorów „Sokołem Odeskim“, 2. towarzystwa „Srodowego“ i 3. „Kółka polskiego“, składającego się z kilku młodych ludzi w wieku od 18—25, z których dwóch należało do kółka gimnastycznego. Za najgroźniejsze z nich uznano „Sokoła“, któremu imputowano przygotowanie przyszłego powstania bezpośrednio za pomocą ćwiczeń wojskowych, a pośrednio drogą propagandy rewolucyjnej. „Srody“ zdaniem pp. przedstawicieli władzy opiekuńczej były również stworzone przez „Sokoła“ w celu prowadzenia takiej propagandy między publicznością nie gimnastykującą się, a członkowie komitetu gospodarczego „Sród“, ludzie z wykształceniem uniwersyteckim byli pionkami w ręku zarządu „Sokoła“, składającego się z ludzi niewątpliwie zacnych, ale nie zawsze mogących wykazać się dyplomem szkoły średniej. Wpływom „Sokoła“ przypisano również utworzenie nie istniejącego towarzystwa śpiewackiego „Lutni“ oraz mitycznej „Opieki nad uczącą się młodzieżą“. Natomiast „Srodom“ przypisano niesłusznie zaszczyt wysłania Ujejskiemu albumu od kolonii polskiej w Odessie, co aczkolwiek miało miejsce, ale stało się z inicjatywy osób zdala od „Sród“ stojących. Jednym z wielu koniecznych epizodów całej sprawy jest wyrubowanie do niezwykłych rozmiarów dziecinnej igraszki, kilku osób bawiących się literaturą. Wydawane przez nich w jednym egzemplarzu pisa ne czasopismo „Ogniwo“, pasowane zostało na „подпольный“ organ Towarzystwa Srodowego. Takich kawałków było w sprawie niemało. „Sokolów“ n. p. zupełnie seryo badano, czy konsul austriacki bywał na ćwiczeniach gimnastycznych, oraz zapytywano o wagę lasek żelaznych, używanych w gimnastyce szwedzkiej, chcąc zbadać, czy nie odpowiadają ciężarowi karabina, jednego pytano „gdzie się znajdują wasze sztandary“. Panu Bogu ducha winnych farmaceutów, którzy wyjechali do innych miast na lepsze kondycje, aresztowano jako emisaryuszów, wysłanych dla zakładania „gniazd sokolich“ na Ukrainie i w Kongresówce, ale puszczono z Panem Bogiem natychmiast po zbadaniu. Jeden z gimnastyków za postępy w fechtunku otrzymał w darze rapir od kolegów. Dowiedziano się o tem po aresztowaniu, i policyant, przybywszy do mieszkania rodziców więźnia, natarczywie dopominał się o wydanie mu „папирья, польскаго оружя“. Przy rewizji u jednego z oskarżonych zabrano „Treny“ Kochanowskiego jako rzecz źródłową, u innego podręcznik prawa karnego prof. Krzymuskiego, oraz przewodnik po Szczawnicy. Przy jednej rewizji p. rotmistrz Kowalewski odezwał się w takie iście lapidarne słowa: „На что русскому чиновнику польская история?“ Wskutek tego za-

pewne zabrał takie „zbrodnicze“ dzieła, jak Bibliografię histor. F i n k l a, Wewnętrzne dzieje K o r z o n a, T a r n o w s k i e g o, Politycznych pisarzy XVI w. i innych, z których nb. każde ma debity w Rosyi. Prowadzenie sprawy powierzono p. Pollanowi, podprokuratorowi izby sądowej, który służąc przedtem w Królestwie, miał możność poznać stosunki polskie, ale i ten specjalista „od spraw polskich“ z początku grubą objawiał ignorancję (mniejszą wszakże niż pułk. Pir, który dowiedziawszy się od obwinionego, że był „w Lembergie“, pytał, a czy nie był „we Lwowie“), ale rozczytując się w rocznikach „Przewodnika gimnastycznego“ i w „Ogniwie“, zdobył pod koniec śledztwa niemałą w historii, literaturze i polityce erudycję. Parę zeszytów „Z doby dzisiejszej“ i innych ulotnych broszurek, schwytych tu i owdzie przy rewizyi zapewne, zrobiły z p. P. człowieka całkowicie au courant bieżącej polityki narodowej.

Aresztowani mieli możność zapoznania się rozmaitemi typami więzień. Ponieważ stare więzienie odeskie było przepelnione, a nowe dopiero na ukończeniu, niektórych trzymano przez parę tygodni w cyrkule, w celach brudnych, wilgotnych, cuchnących, w sąsiedztwie rzeźmieszków, z którymi stróżowie bezpieczeństwa zbyt po ojcowsku się obchodzili, to też wrzaski bitych i zamaszyste łajania bijących rozlegały się od rana do nocy. Tyle tylko wygody mieli więźniowie w cyrkule, że po jadło posyłać mogli do restauracyi, przyczem policyanci wyzyskiwali ich niemilosiernie. Lepsze nieco warunki pod względem komfortu mieszkaniowego mieli ulokowani w starym więzieniu, ale tu mieli już stół więzienny, szlachta tak zwany „dworiansky“, osoby pochodzenia nieuprzywilejowanego zwykły barszcz z kaszą, za opłatą jednak mogli mieć zarówno jedni, jak drudzy specjalny stół t. zw. więźniów politycznych, mniej więcej przypominający pożywienie, jakie tanie kuchnie dostarczają.

W połowie października przeniesiono wszystkich do nowo wybudowanego więzienia, wzniesionego na wzór Petersburskiego domu roboczego, zwanego pod nazwą „Крест“ od formy krzyża, w jakiej jest zbudowane. Gmach więzienny, wybudowany zgodnie z wymaganiami higieny i przepisami nauki penitencyarnej, zrobił na przymusowych mieszkańców, zwłaszcza przybywających z cyrkulu i cytadeli warszawskiej, bardzo miłe wrażenie. Celki czyste, jasne, z wentylacją, widokiem na okolicę, dzwonkiem elektrycznym robiły wrażenie numerów hotelowych, mniej przyjemną była wiadomość, że łóżko odmyka się na noc, a na dzień zamyka, oraz że o godzinie 6-tej na odgłos dzwońu trzeba

wstawać, w asystencji żandarma iść po wodę i ze herbatę, a raczej wrzątek do herbaty przynoszą o 7., o 12. lub 1. obiad jak wyżej, o 3. znowu herbata. Raz lub dwa w tygodniu wolno otrzymywać z domu żywność, bieliznę etc., napojów i tytoniu mieć nie wolno. Na przechadzkę codziennie, lub co drugi dzień zależnie od ilości więźniów politycznych na pół godziny wyprowadza nieodłączny opiekun w błękitnym mundurze i wogóle styczności nawet z władzą więzienną bez obecności żandarma mieć nie można. Korespondować z krewnymi tylko można co drugi tydzień, książki w języku rosyjskim przez zarząd żandarmeryi lub prokuratoryę się otrzymuje, po dokładnem zbadaniu, czy niema jakichś śladów porozumiewania się.

Sprawa rozpoczęła się w końcu sierpnia; w połowie listopada wypuszczono już pierwszą partję więźniów, przeważnie ludzi familijnych, a następnie co parę tygodni kilka osób, przeważnie pod dozór policyjny, oprócz trzech uwolnionych za kaucyą 1000 r., tak że w końcu stycznia było aresztowanych tylko 7, których dotychczas (już przeszło rok cały) trzymają. Sprawę w końcu marca b. r. odesłano do Petersburga do t. zw. „Czasowej komisji dla szczególnych spraw karnych“. Komisya powinna się w tych dniach zjechać i do rozpatrzenia sprawy zabrać. Co zadecydują, Bóg wie, ale chyba muszą być między nimi ludzie trzeźwo na rzeczy patrzący, którzy z muchy słonia zrobić nie zechcą. Oby się sprawdziły nadzieje tych, którzy twierdzą, że „są przecież sędziowie — nawet w Peterborgu“.

